

Witajcie moi drodzy!

Dziś proponuję Wam przeczytanie noweli Bolesława Prusa pod tytułem „Katarynka”, którą Wasi rodzice dobrze znają jako lekturę szkolną. Jest to utwór znacznie dłuższy od tych, które dotąd czytaliście na lekcjach, a ponadto napisany językiem używanym w XIX wieku, nieco innym od naszego, dlatego zapoznanie się z nim jest Waszym jedynym zadaniem domowym w Tym tygodniu. Zadania do tekstu otrzymacie za tydzień.

Życzę Wam miłej lektury i ciepło pozdrawiam.

Renata Kocur

Bolesław Prus „Katarynka*”

Na ulicy Miodowej co dzień około południa można było spotkać jegomościa* w pewnym wieku, który chodził z placu Krasińskich ku ulicy Senatorskiej. Latem nosił on wykwintne, ciemnogranatowe palto*, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące jak zwierciadła - i - nieco wyszarzały cylinder*.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate* faworyty* i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę; w pochmurny – dźwigał jedwabny parasol angielski. Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się z wolna. [...] W drodze ustępował każdemu, a potrącony uśmiechał się życzliwie. Jeżeli spostrzegł ładną kobietę, zakładał binokle*, aby przypatrzeć się jej. Ale że robił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to – pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. Toż samo ulica Miodowa pomyśleć by mogła o nim. Gdy był jeszcze obrońcą*, [...] wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy zakręcone ostro do góry. Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał [...] Gdy został mecenasem*, czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia*, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinię znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, najął mieszkanie z sześciu pokojów złożone, urządził w nim na własny koszt posadzkę, sprawił obicia, piękne meble – i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już za długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale... czekając na oświadczenia mecenasów, wyszła za doktora...

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien nie brakło. Ekwipował* się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy. Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam nie wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerię sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u niego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemną i sięga w tył do białego jak śnieg kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tym bardziej że dla kobiet czuł wciąż życzliwość.

Raz kiedy przyjmował liczniejsze niż zwykle towarzystwo, jedna z młodych pań, rozejrzawszy się po salonach, zawołała:

- Co za obrazy... A jakie gładkie posadzki!... Żona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.
- Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie posadzki – odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa.

W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu ktoś wspomniał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

- Iii!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. [...] Nie zapalał się on, nie unosił, ale – smakował. Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki, nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się wprzód* z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galerii całe godziny. Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

- Wiecie państwo, że jest to wcale ładne.

Należał do tych niewielu, którzy najpierw poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

- Czekaście, może się jeszcze wyrobi! - mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występach nie rozmawiał.

Na nieszczęście żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a Pan Tomasz miał także swoje. Oto – nienawidził kataryniarzy i katarynek. Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny – zapalał się, jak był cichy – krzyczał, a jak był łagodny – wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się.

- Muzyka – mówił wzburzony – stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcję maszyny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są po prostu rabusie!

- Zresztą – dodawał – katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstręcie mecenasa do grających machin, wymyślił niesmaczny żart – i... wysłał mu pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie odkrywszy sprawcę, wyzwiał go na pojedynek. [...]

Dom, w którym pan Tomasz mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższyć wszystkim komorne*, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenasa z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki w domu grywać nie będą. Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

- Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

- Kazimierz, proszę pana.

- Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

- Rozumiem, wielmożny panie.

- A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

- Nie mogę wiedzieć, jasnie panie – odpowiedział wzruszony stróż.

- Za to, żebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek. Rozumiesz?...
- Rozumiem, jasnie wielmożny panie.

Lokal mecenasa składał się z dwu części. Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze – od podwórza. Paradna* połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. [...] Całe zaś dnie, o ile nie spędzał ich poza domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy albo przeglądał dokumenty znajomych, którzy prosili go o radę. [...]

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal wynajmowany osobom mniej zamożnym [...] (do którego) sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką. Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodsza z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa, i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co dzieje się u jego sąsiadek. Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny przeznaczone do szycia i kłębki bawełny na pończochy. Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica* przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzą, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka z pomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś. Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na błęziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

„Dziwne dziecko!”- mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej. Spozstrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukietek. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała na powrót w bukietek, włożyła go w szklankę wody i usiadłszy w swoim oknie, powiedziała:

- Prawda, mammo, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzął na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle. Oto co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka, oparłszy głowę na rękę, położyła się prawie na wznak w swoim oknie – i – szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

- Ona nie widzi! - szepnął mecenas, opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył klucia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidoma od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę, przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc. [...] stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki;

- Mammo, czy to jest noc?...
- Nie, moje dziecko... A dlaczego ty tak mówisz?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała: spać jej się chciało... Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

- Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać. Ale chora, im bardziej odzyskiwała siły, tym mocniej niepokoiła się swoim kalectwem...

- Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?...

- Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

- Kiedy przejdzie?...

- Niedługo.

- Może jutro, proszę mamy?

- Za kilka dni, moja dziecino.

- A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłym oczekiwaniu. Dziewczynka zaczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem; sama ubierała się i rozbierała powoli i ostrożnie.

Ale wzrok jej nie wracał. Jednego razu mówiła:

- Prawda, mamo, że ja mam niebieską sukienkę?...

- Nie, dziecko, masz popielatą.

- Mama ją widzi?

- Widzę, moje kochanie.

- Tak jak i w dzień?

- Tak.

- Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?... Nie, może za miesiąc...

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

- Prawda, mamo, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?... Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnymi łapami?... Prawda, mamo, że ja widziałam siebie w lustrze?... Nie ma tu lustro?...

Matka podaje jej lusterko.

- Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie – mówiła dziewczynka, przykładając lustro do twarzy. - Nic nie widzę! - rzekła - Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

- Widzę cię, moja ptaszyno.

- Jakim sposobem?... - zawołała dziewczynka żałośnie, - Przecie jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic...

- A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?...

Ale matka rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszym zajęciem kaleki było dotykać rękoma przedmiotów i poznawać je, Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk [...]. Poszła spać bardzo późno, wciąż myśląc o swojej lalce, którą ułożyła w pudełku wysłanym wata. W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kąciku swoją córkę, już ubraną i bawiącą się lalką.

- Co ty robisz, dziecino? - zawołała. - Dlaczego nie śpisz?

- Bo już przecie dzień, proszę mamy - odparła córka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze...

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń zaczęła zacierać się w dziewczynce. [...] Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś – skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że zbliżywszy się do ściany, czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach. Poz-

nawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy – dorożka, a kiedy – kary wywożące śmiecie. Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. Z niepojętą bystrością poczytywała drobne te zjawiska i wysuwała z nich wnioski. [...] Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu i to ją nieco uspokajało.[...] W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne. Przygłuszony turkot uliczny dobiegał z góry, inne odgłosy niknęły. To była noc dla ociemniałej. Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działo się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej niż w pokoju. [...] To był dla niej dzień...

W tej właśnie epoce* matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, gdzie mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwym nieszczęściem.

Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. [...] Nie słyszała ptaków ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza.[...] Jedyłą jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecież nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami. [...] Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.[...]

- Biedne dziecko – szeptał nieraz pan Tomasz, przypatrując się smutnemu maleństwu.
„Gdybym mógł dla niej coś zrobić? - myślał, widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i co dzień niknie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i jak zwykle oddał mu do przejrzenia papiery z prośbą o radę. [...] Sprawa była zawikłana. Pan Tomasz im więcej wczytywał się w papiery, tym bardziej zapalał się. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy wytarto kurz w salonach, tylko zamknięty w swoim gabinecie czytał dokumenty i notował.

Wieczorem stary lokaj mecenasa przyszedł z codziennym raportem. [...] Doniósł, że [...] odźwierny* Kazimierz zrobił awanturę ze stójkowym* i poszedł na tydzień – do kozy*. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?... Ale mecenas, pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kółka dymu, a na wiernego sługę nawet nie spojrzał.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami, [...] rozmyślał nad sprawą. [...] Pana Tomasza proszono o [...] pogodzenie trzech zwaśnionych stron, z których żadna nie chciała słyszeć o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek. Na podwórzu, po samym oknem pana Tomasza odezwała się katarynka!... [...] I żeby to przynajmniej była katarynka [...] dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! Jakby na większą szykanę katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne* walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały [...]

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. [...] W sercu mecenas, tego wyrozumiałego, łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkty. [...] A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnym uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył jak tygrys do okna i postanowił – zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami. Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: „Ty...próżniaku jakiś!...” - gdy wtem usłyszał dziecięcy głos. Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy jak grad. Ona,

biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tyłu wrażeń! Jak pięknym zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasu mało nie przyprawiła o apopleksję*. Na dobitkę katarzyniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i od czasu do czasu pogwizdywać niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! Jak on ślicznie gwizdał...

Do gabinetu mecenas wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

- Ja mówiłem temu gałganowi*, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał katarzyniarza!

Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt...Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów.

- No, teraz posłuchaj – krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża – posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Katarzyniarz grał już trzecią sztuczkę* tak fałszywie i wrzaskliwie jak dwie pierwsze. Nieświadoma dziewczynka była upojona. Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady:

- Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

- Paweł, jaśnie panie.

- Otóż mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

- Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! - wtrącił śpiesznie lokaj.

- Nie – rzekł pan Tomasz. - Za to, ażebyś przez jakiś czas co dzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

- Co pan mówi?... - zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

- Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał co dzień katarynki na podwórze – powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

- Nie rozumiem pana!... - odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

- Głupiś, mój kochany! - rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz

- No, idźcie do roboty – dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa* wyrzucił katarynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że katarzyniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę zaczął przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniejsze, co już okrutnie drażniło mecenasu, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł, mruczając:

- Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się nim od dawna...

Słowniczek

katarynka- mechaniczny instrument muzyczny

jegomość- męczyzna

palto- płaszcz

cylinder- rodzaj kapelusza

szpakowate- siwe

faworyty- zarost na policzkach

binokle- rodzaj okularów

obrońca, mecenas- adwokaci
ciemie- górna część czszki
ekwipować się- wyposażać się w różne rzeczy
komorne- opłata za wynajmowanie mieszkania
stróż, odźwierny- dozorca
paradny- pokazowy
najemnica- służąca
omackiem- kierując się dotykiem
kara- tu: wóz na dwóch kółkach
w tej właśnie epoce- tu: w tym czasie
stójkowy- policjant w zaborze rosyjskim
koza- areszt, więzienie
ordynaryjny- pospolity
apopleksja- uderzenie krwi do głowy, udar
galgan- łobuziak
sztuczka- tu: krótki utwór muzyczny
famulus- służący, lokaj

Źródło: A. Łuczak, A. Murdzek. Między nami. Język polski. Podręcznik do klasy piątej szkoły podstawowej. Gdańsk 2019.